Rok 1898. Lwów, dnia 3. stycznia. Nr. 1.

# ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.



Dr. FRANCISZEK KRČEK

## Ze współczesnej poezji czeskiej.

(Szkic literacki).

Znana jest kategoryzacja polskich sztuk pięknych w wieku bieżącym i zdanie o ich kolejnem przodownictwie. Wiemy, że z epoką mickiewiczowską berło przeszło od poezji do malarstwa, któremu dotychczas jakoś jeszcze żadna inna gałąź sztuki (np. muzyka, jakby wypadało z kolei) pierwszeństwa tego nie odebrała. Na tę modłę starała się pewna Warszawianka scharakteryzować rozwój umysłowego i artystycznego życia czeskiego w tym samym czasie, i jeśli śp. Jelinek, który jej zdanie przekazał pamięci, nie pochlebił jej z wrodzonej sobie galanterji dla dam, zwłaszcza Polek, to kategoryzacja damy tej jest wielce trafną. Dzieli ona wiek bieżący — w granicach o których rzekłem, na trzy okresy: przodownictwa nauki (Jungmann, Palacki, Szafarzyk i t. d.), przodownictwa muzyki (Smetana i towarzysze), wreszcie okres panowania poezji, który trwać ma po dziś dzień. Jakoż trwa on rzeczywiście, a poetów wybitnych w Czechach dziś już legjon cały. Wszystkich wyliczać nie miałoby celu, na paru i to najcelniejszych tylko, myślę zwrócić uwagę publiczności polskiej. I tak boję się, że nadużyję cierpliwości jej, bo i tych kilku nawet, z wyłączeniem bezprzykładnie twórczego Vrchlickiego, stanowi już poważny zastęp. I tę *notabene* muszę zrobić uwagę, że mówię li o żyjących i to będących u zenitu swej twórczości. O młodych „adeptach“ parnasu ani umiem, ani chcę mówić.

A więc, na czoło tej legji idź trjarjuszu, któryś jeszcze z nieśmiertelnym piewcą „Pieśni wieczornych“, Witosławem Hálkiem, zawracał poezję czeską z manowców bajronizmu i romantyzmu na zdrowy grunt swojski, najstarszy z mistrzów liry czeskiej, — Adolfie Heyduku! Nieodrazuś wprawdzie trafił na strunę właściwą, błąkałeś się też po ścieżkach obcych twej indywidualności, aleś wreszcie wziął do rąk „Cymbały i skrzypki“ i ozwał się z ciebie prawy Słowak, z całym szałem swej radości i z cichą tragedją bólu, a przydrużył się doń na równi z nim poszturkiwany, a poetyczny Cygan. Kto dziś w Czechach, a nawet, dzięki muzyce Bendla — w Europie, nie zna twoich „Cygańskich melodji“? Sześć krzyżyków, brzemię innym już za ciężkie, barek twych nię pochyliło tak, byś nie mógł dojrzeć nad sobą i w koło siebie tych wszech cudów, którymi przyroda okrasiła ziemię czeską. Matką ci była ta przyroda i lekarką w chorobie duszy, aleś i ty jej wdzięcznym synem. Trudnoż bo o piękniejsze i tkliwsze peany na jej cześć, jak twe „Na przechadzkach“, lub „Motywy ptasie“!... To też bez potrzeby wzdychasz:

„To, Panie Boże, daj mi na pustkowiu,
Niech tak mi w śpiewie mym się darzy,
By młodzi hardo go nie wyśmiewali,
A starców twarz mógł rozweselić“...

Płonne obawy! Imię twoje, a z nim Słowaczyzna w poezji czeskiej wiecznie żyć będą.

A teraz przedstawiam ci, polski czytelniku, wielką trójcę czeskich poetów. Na widnokręgu poezji czeskiej świetnymi głoski wypisane imiona Świętopełka Czecha, Jarosława Vrchlickiego i Juljusza Zeyera. Który z nich największy, o to niech się kłócą pedanci; my raczej rozkoszujmy się ich utworami. Pozwolę sobie tylko, zwrócić uwagę na niektóre właściwości każdego z tej trójcy. Przedtem jednak, jedno pytanie: „Czego szukasz szan. czytelniku w poezji — sztuki dla sztuki, wzniosłych myśli filozoficznych, czy tendencji społecznej i patrjotycznej?“ Stosownie do odpowiedzi radzę ci: weź do rąk bezwzględnego artystę, Zeyera, — rozczytuj się w „Duchu i świecie“, „Ułomkach epopei“, „Mytach“ itd., słowem w setce zbiorków i poematów Vrchlickiego, lub daj się porywać pieśniom Czecha. Pod jeden sztrychulec brać wszystkich niepodobna. To też poświęcając im kolejno parę uwag, w porządku, w jakim to czynię, nie myślę zaznaczać osobistych preferencji, jeno postępuję w porządku chronologicznym ich pierwszego wystąpienia publicznego.

Poetyczna indywidualność Czecha dosięga najwyższego wyrazu swego w epice. Już w poemacie o „Husycie nad Bałtykiem“, z którym debiutował w 24 roku życia (21. lutego 1846) w I. roczniku „*Ruchu*“, silnie zabrzmiała epicka struna jego liry i zwróciła na młodego poetę uwagę powszechną, obudziła wielkie nadzieje. Nadzieje te ziściły się rychło. Czech, który już pierwszy raz występując publicznie, okres próby miał za sobą, każdym nowym poematem nowe budził objawy zachwytu nad swym spokojem epickim, wyrazistością i przejrzystością myśli, siłą i jędrnością wyrażenia, plastyką obrazów i opowiadania. A przytem, na rynek księgarski sypał tomik po tomiku, jużto jako zbiorki kilku poematów „Poezje“ 1874, „Nowy zbiorek prac wierszowanych“ 1880), jużto jako odrębne tomiki (Wacław z Michałowic 1886, Petrklicze 1883, Dagmar 1885, Hanuman Leszetyński kowal, Slawja 1884) o wielce rozmaitym nastroju po-

etyckim, a zawsze chętnie czytane i stąd też wydawane coraz częściej. Z tych epickich utworów Czecha „Adamici“ i „Wacław z Michałowic“ według uznania krytyki są szczytem tego rodzaju poezji w Czechach. Ale na eposie i jego prozaicznej siostrzycy, noweli, nie poprzestał Świętopełk. Jak do tego przyszło, trudno dochodzić, lecz z cenionego i wielbionego poety zrobił się samotnik krańcowy. Porzucił zgiełkliwą stolicę, kupił sobie domek w Obrzystwiu, i oddał się medytacjom i przyrodzie. Cóż bardziej sprzyja liryce nad samotność? Prawda, nie liryce miłosnej, ale tej struny poezja Czecha nie dotyka prawie, jak wogóle moment podmiotowy w liryce tego poety usuwa się na plan drugi. (Jeden dowód więcej jego epickiej przeważnie indywidualności). Natomiast lira jego to już nie odosobniony instrument, na którym samotnik skraca sobie długie wczasy, lecz to arfa Eola, której każda silniejsza fala wiatru, przeciągającego nad ojczyzną poety, wyłudza dźwięki cudowne, krzepiące wątpiących i upadających na duchu i pobudzające do nowej pracy, do dalszej walki. Liryka Czecha jest narodową i polityczną w wysokim stopniu, a że z tem łączy w sobie najidealniejsze dążenia i najgłębsze zagadnienia ludzkości, ma zapewnioną nieśmiertelność równie, jak liryka naszego Mickiewicza. W tem też tkwi tajemnica szalonego jej powodzenia. „Pieśni niewolnika“ np., które ukazały się po ogłoszeniu stanu oblężenia w Pradze przed 4 laty, rozeszły się w 24 wydaniach w ciągu roku, a choć wiele tu na karb chwili trzeba policzyć, to jednak nie można wszystkiego. Pieśni te bowiem równie silnie mogą porwać nas i Alzatów i Indjan i wogóle wszystkich, którzy jęczą pod jarzmem niewoli, i naprawdę jestto dowodem smutnej obojętności inteligencji polskiej dla najbliższego nam narodu słowiańskiego, że nie znalazł się dotychczas nikt, ktoby je spolszczył. I niech się tu nikt nie zasłania wyższością poetów zachodu! Bo pytam, czemże jest taki Mistral ze swą *Mireio* wobec epiki Czecha, czem cała falanga francuskich zdechlaczków-poetów wobec liryki Czecha? A przecież oprócz Petrkliczów i drobnych próbek przekładów Mirjama, ani w „Bibljotece najcelniejszych utworów“ ani w czasopismach nie znalazło się miejsca dla arcydzieł czeskiego poety. I niech też nikt nie prawi o „zaściankowości i naiwności“ czeskich mistrzów pióra! Niech weźmie najnowszy tomik tego samego Czecha i przeczyta te jego niezrównane „Modlitwy do Nieznanego“. Trzynaście poemacików treści religijnej, chrześcjańskiej, a co za głębia ducha, jak wzniosłe pojęcie tego „Nieznanego“, co za dalekie widnokręgi i perspektywy, jakie szczytne stanowisko społeczne, co za wiara i ufność w świetlaną przyszłość!... Weźmy np. jeden z nich: „W burzy“. Symbolizuje w nim poeta odwieczną walkę materji z duchem i siły materjalnej z uczuciem i rozumem. Burza w przyrodzie oczyszcza powietrze, odświeża wszystkie ustroje, użyźnia glebę. Burza w życiu jednostek, społeczeństw i narodów niegdyś budziła podziw piewców, ale poeta dziś nad nią przenosi miłość braterską ludów i słowa pisma św.: „Gdyć biją w jedno, nadstaw drugie lice!“ Nie stawiać oporu złemu, to według Czecha najwyższem być powinno prawidłem i zakonem życia ludzkiego... (W tem odzywa się spadkobierca ideałów braci czeskich, owego hasła „humanity“). Ale uskutecznienie tego prawa, kiedy w miejsce dzikich sił materjalnych zapanuje na świecie „mir i miłość“, dotychczas spoczywa w łonie dalekiej przyszłości. Burza i walka jeszcze długo będą się powtarzać w życiu ludzkiem, równie jak w przyrodzie:

„Dopiero świta dzień,
Nie przyszło jeszcze wypełnienie czasu,
A w chwilach gwałtu, co do życia lgnie,
Też gwałtem trzeba się od śmierci bronić“...

Z tego stanowiska spogląda poeta też na dzisiejsze burze społeczne, które wstrząsają Czechami tak samo, jak innymi krajami świata starego. Rozmyśla więc o dalszym rozwoju tego procesu i ostatecznem uciszeniu się tej burzy i wypowiada przekonanie, że świata nie zbawi ani materjalizm, ani klerykalizm, ani filozofja, ani polityka, jeno wprowadzenie w czyn etyki chrześcjańskiej:

„Nie mówcie, czego nie czynicie sami,
Wpierw sami, na wzór, przestajcie na małem,
Ażeby wszyscy byli szczęśni z wami...
To bądź najwyższym waszym ideałem!“

I tak mógłbym streszczać tych „modlitw“ — *sit venia verbo* — trzynaście i niktby nie zdołał mi zarzucić przesady, że je tak wysoko stawiam i cenię. A przecie ani „Pieśni niewolnika“, ani „Modlitwy do Nieznanego“ nie wyczerpują całego bogactwa liry Czecha. Pominąłem bowiem np. „Śpiewnik Jana Burjana“, (1894) „Pieśni poranne“ (1887, II. wyd. 1888), „Nowe Pieśni“ (1888, II. wyd. 1893). A więc, panowie tłómacze, pole do popisu!

*Vrchlicki!* — Pseudonim ten chyba tak znany całemu społeczeństwu polskiemu, że rozprawiać o wysokiem znaczeniu i wielkiej wartości prof. Emila Fridy — przepraszam: Jarosława Vrchlickiego, znaczyłoby to powiątpiewać o inteligencji naszej, której chyba Mirjam, Bron. Grabowski, Konopnicka, (że pominę innych) dali dość sposobności do poznania tego unikatu w poezji czeskiej, a kto wie, czy i nie wszechświatowej. Odsyłając zatem szan. czytelników do przekładów tych (np. Mirjam: „Duch i świat“, „Drahomira“, „Uszy Midasa„ itd., Konopnicka: „Linje i dźwięki“), pozwolę sobie zaznaczyć, iż osobiście nie wiem rzeczywiście, co podziwiać, czy artyzm formy, której chyba nie ma odcienia, któregoby nie wprowadził do poezji czeskiej, czy też myśliciela-panteistę, przezierającego z każdej stronicy niezliczonych zbiorków, czy wreszcie poetę, którego każdy tomik posiada swą odrębną fizjonomję, wywołując w czytelniku jednolity nastrój, w jakim sam powstawał. Prawda, nastrój filozofa-panteisty stoi ostatecznie na pograniczu smutku doczesności i radości z nieśmiertelnego współistnienia z wszechświatem i w nim, ale przy różnorodności zjawisk przyrody i świata ducha, dość rozmaitym, by na nim snuć przędzę tak różnobarwną, jaką stanowi ciąg cały zbiorków poezji Vrchlickiego, od pierwszego, „Z głębin“ (1875) aż po „Kwiatki aster“ (1894), „Pieśni pątnika (1894), „Nim zmilknę ostatecznie“ (1895), „Plamy na słońcu“ (1897) i „Pożółkłe liście“. Podnieść jednak należy raz jeszcze, że te trzy cechy wybitne Vrchlickiego, które podziwiałem wyżej, w każdym zbiorku łączą się w harmonijną całość i to właśnie stanowi ich doskonałość. Ot, weźmy dla przykładu takie „Plamy na słońcu“. Forma o ile możności jednakowa: zwrotka saficka. Treść idejowa: paralela między zagadkami kosmicznemi takiemi, jak np. to, co dało tytuł książce, a zagadkami ducha człowieczego. Nastrój: nadzieja przyszłości jasnej, zwyciężająca wątpliwości chwilowe. Proszę np. przeczytać wiersz p. n. „Przed bramą XX. wieku“, „Nowe odrodzenie“, lub „Trzy boskie cnoty“. Ten ostatni podaję tu w przekładzie nieudolnym:

Wiarą tylko, wiarą w cokolwiek, w siebie,
Możesz w pracy wielkim być, lub w dumaniu,
Możesz śmiało k'słońcu iść celu swego,
Góry przesadzać.
Miłość tylko, miłość ci daje wiarę
W szczęście: jeśli jest gdzie, to w oku tylko,
Czule słodkiem, tylko na pełnych piersiach
Całe spoczywa.
Ale cierpieć, gorzki los życia dźwigać,
W błoto ciskać laury, egoizm, imię,
Stać śród gromów, nie paść i żyć — pozwala
Tylko nadzieja.

Do tego, com powiedział o Vrchlickim, jako liryku, bo choć pracował i pracuje jako epik, jest z urodzenia lirykiem w przeciwstawieniu do Czecha — dodać należy, że i dramat czeski zawdzięcza mu niejedną perłę, choćby tylko wymienić taką „Noc na Karlsztajnie“ — a po za tem, czynnym jest jako tłómacz arcydzieł literatury wszechświatowej. Wszak dał Czechom przekład „Fausta“, całego Dantego, Arjosta, „Dziadów“ i mnóstwa, mnóstwa innych. Nowelistyka i krytyka literacka także nie pozostały nietkniętemi przez jego genjusz wszechstronny.

(Dokończenie nastąpi).

F. MIRANDOLA

# POEZJE.

## *Wymówka.*

*Na podmytym rzeki brzegu*
*Co jutro od wody się zsunie,*
*Widziałem białe ptaki w ściśnionym szeregu...*
*Polecą — pomyślałem — nim on w wodę runie.*

*Widziałem na podmytym rzeki brzegu,*
*Co jutro do wody się zsunie,*
*Białe kwiaty w ściśniętym szeregu...*
*Te nie ulecą, gdy on w wodę runie!*

*Na popękanym rzeki brzegu,*
*Widziałem człowieka.*
*Stał nieruchomy, patrzył w nurty mętne*

*Oczy miał dziwne, uroczyście smętne.*
*Rzucił się w tył. Myślałem zrazu że ucieka.*
*Nie. Był silniejszy od kwiatów, a słabszy od ptaków...*

*I długo szły po górach — jakieś straszne echa...*

## *Sonet prozą.*

*Las cicho stoi. Zwieszone gałęzie*
*Maczają końce w oparze zapachów*
*Co się kłębami z traw i ziół podnosi*
*I pełza ciężko po pniach starych dębów.*

*Wąż mrówek pełza po suchym konarze*
*Tysiącem nóżek drażni dębu nerwy,*
*Ale on senny, głową ciężko chwieje...*
*Czy śpi, czy zmarła, stara dębu dusza?*

*Przez słońce biegą szybko szare chmury*
*I żółte w trawę rzucają połyski...*
*Kwiaty chowają oczy oślepione.*

*Biedne nie wiedzą czy przeżyją burzę*
*I drżą wśród życia i szczęścia rozkwitu,*
*Gradem i skonem nagle zaskoczone...*

ALEKSANDER KIELLAND

# POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

I.

Na południowym zachodzie i w dali nad fjordem było niebo czyste i niebieskawe. Silne światło słoneczne odbijało się w wodzie, a na morzu panowała cisza.

Nie było żadnego ściśle określonego wiatru.

To lekki zefirek zaczął dąć z południa, to gorące powietrze z doliny Chrystjanji zawisło nad miastem, przenosiło się na główną wyspę i zamierało w beznadziejnem gorącu.

Na wschodzie zanosiło się na burzę, która zbierała się każdego popołudnia, aby się znowu rozejść nad wieczorem.

— Gdyby tylko raz chciało się rozhulać! — myśleli ludzie.

Jednakowoż burza nie chciała wybuchnąć — ściągając się z dnia na dzień, przez cały sierpień. Słońce paliło, wiatr dął to z tej to z tamtej strony — pędził gorąco, nie rozdzielając go wcale: — burza nadciągała, trzymała całą naturę w drżącem oczekiwaniu... i rozchodziła się znowu.

Wszystkie szerokie ulice, prowadzące na południe i na południowy zachód, kąpały się w słońcu. Cień ukrył się zupełnie pod ścianami domów, a był tak mały, że nie można się było skryć pod jego skrzydła.

Na ulicy Karola Jana najlepiej było przedpołudniem; bez przeszkody można było dojść aż do gmachu parlamentu. Na placu Przysięgi jednak i dalej ku zamkowi, słońce zebrało swe najgroźniejsze siły.

Młode drzewka zwiesiły liście pokryte popielatym kurzem; topole stały sztywne i zdawały się szukać swego własnego cienia. Ludzie przelatywali jak ptacy od krzaku do

krzaku, a ptaki siedziały milczące, przytulone do pni, patrząc ku słońcu, albo też kąpały się w piasku i kurzu.

Kilku nieszczęsnych mężczyzn wspinało się powoli na górę zamkową, z rozpiętymi parasolami, z kapeluszami w rękach, a chustki ich zwieszały się jak zmoczone płachty. Przy uniwersytecie stało kilku wyschniętych studentów i kuło łacinę. Przez ulicę Uniwersytecką przebiegł niespodziewanie lekki wicher, podniósł tuman kurzu, rozpędził go po placu, a woda z beczki do polewania ulic kładła się jak warstwa szarych pereł na gorącym kurzu ulicznym.

Oczy bolały każdego, kto spojrzał ku zamkowi, spoczywającemu w słońcu. Wszystkie story w oknach były pospuszczane. Przed zamkiem siedział Karol Jan na swym bronzowym koniu. Trzymał kapelusz w ręku, zapewne dlatego, aby się nim mógł chłodzić jak wachlarzem. Nad miastem powietrze było zupełnie spokojne i drgało jak nad spaleniskiem. Dym z kominów skłębił się w dole jak brunatna chmura, a na wschodzie zaczęła się znowu wznosić burza w żółtawych, ścisłych kłębach, jak dym z ciężkich armat.

Wielkie, potężne, jak na syberyjską zimę obliczone domy, rozpalone były jak piece. W wąskich podwórzach, w których trzeba się było kłaść na plecach, aby zobaczyć niebo, osiadło gorąco w skondenzowanej formie. Stąd wdzierało się do wnętrza domów przez tylne drzwi i okna kuchenne, wlokło się przez schody i spotykało się z wznoszącem się co raz wyżej słońcem, nadciągającem od strony ulicy, od przepalonej fasady, tych wielu okien. Od strychu aż do piwnicy nie było ani jednego chłodnego miejsca, chyba tylko w lodowni. Długotrwały upał tak osiadł w murach, że nawet noce były nieznośne,

Powietrze było duszne, a wszystko co tylko posiadało skłonność do wydawania złej woni, korzystało ze sposobności i wydawało z siebie tak zabójczą woń, że w całem mieście nie można było zaczerpnąć ani odrobiny świeżego powietrza.

— Im dalej się idzie na północ, tem upał jest gorszy! — rzekł kancelista Mortensen i odpiął kołnierzyk; siedział w koszuli i rozpiętej kamizelce.

Młody referendarz Hierth, który kleił teki papierowe do jakiegoś użytku w ministerstwie, odwrócił się niezadowolony i gniewny. Mortensen w istocie nie był apetyczny, gdy się przy swej otyłości pocił nadmiernie i rękawem żółtej koszuli ocierał czoło. Referendarz jednak nie odważył się nic powiedzieć; był on nowicjuszem w ministerstwie, a Mortensen umiał imponować.

Wszystkie okna w wielkim gmachu ministerstwa stały otworem, również i drzwi, prowadzące do przyległych pokojów i na korytarze. Kanceliści odwiedzali się wzajemnie, skarżąc się na upał — a zawsze mając w ręku paczkę aktów na wypadek, „gdyby ich ktoś spotkał“.

Referendarze nieprzyzwyczajeni jeszcze do „roboty“ wisieli nad stołami jak zwiędłe ostróżki; od czasu do czasu zrywali się i grzebali w papierach.

Papiery bowiem znajdowały się wszędzie.

Wypływały one z półek przy ścianach. Przed każdym i przy każdym leżały w wielkich kupach. Był tam papier żółty, szary, biały, do pakowania, pocztowy, stemplowy, nowy, stary z poobrywanymi brzegami, bibuła itd. Leżał ten papier dokoła w pojedyńczych arkuszach, w okładkach, w paczkach owiązanych sznurkiem, na podłodze, na krzesłach, na stołach. Papier rozlewał się formalnie po pokoju, tak że nieszczęśliwi, którzy się w nim poruszali, musieli być według wszelkiego prawdopodobieństwa przygotowani na to, że się utopią w tym papierze, jeżeli się nie będą mogli wyratować przy pomocy pływania.

W pokoju, przyległym do pokoju Mortensena, siedział kancelista Oerseth, mały ruchliwy człowieczek z czarną brodą. Wpadł właśnie do pokoju, trzymając gazetę w ręku.

— Czytałeś pan to, Mortensen? Teraz przechodzi to już wszystkie granice! Przeczytaj no pan ten artykuł o prawie głosowania dla robotników! Że też coś podobnego może być myślanem, drukowanem i rozszerzanem! Nie! Tych wszystkich trzebaby razem powiesić na jednem drzewie!

Mortensen spojrzał obojętnie na dziennik.

— Czytałem to dziś rano. Idjotyzmy, mój stary!

— Idjotyzmy, Mortensen? Gorzej niż to... Podjudzanie! Kłamstwa niebezpieczne dla ogółu! Gdy sobie pomyślę — wybuchnął Oerseth z gorzkim uśmiechem — że ci włóczą się wszędzie, kokietują z tą hołotą, bratają się z robotnikami, wygłaszają mowy do tych dzielnych robotników, tak jakby zarobnicy mieli patent na pracę, a my inni nie byli niczem innem, jak tylko... jak tylko...

— Złodziejami... — poddał Mortensen.

— A właśnie! — zawołał Oerseth. — I chciałbym też wiedzieć, kto więcej pracuje: ten, co tłucze kamienie, czy my!

Tymczasem do pokoju wsunął się mały, siwy człowieczek. Nigdy nie można było wiedzieć, skąd przychodzi. Drzwi pod jego ręką nie wydawały żadnego odgłosu, a w ministerstwie chodził zwykle na filcowych podeszwach.

— No, Mo! — rzekł Mortensen i mrugnął poufale oczyma — poszedł?

— Minister wyjechał przed chwilą z Falck-Olsenem — odparł Mo i posunął się dalej.

Oerseth już oddawna znajdował się na swojem miejscu w przyległym pokoju, kanceliści i referendarze pochylali się daleko więcej nad stosami aktów, podczas gdy przesuwał się przez pokój mały człowieczek.

Był to mianowicie woźny ministerjalny Anders Mo. Miał na sobie brązowy, długi surdut. Nosił stojący kołnierzyk, a biały krawat dosięgał aż dolnej szczęki. To nadawało mu bardzo poważny wygląd, podobnym był w części do kwakra. Blada twarz była łagodna i przyjacielska, a srebrne włosy spadały tak nisko na kark, że w pięknych lokach kręciły się na kołnierzu od surduta.

Gdy woźny niepostrzeżenie zniknął w drugim pokoju, zawołał Mortensen półgłosem:

— He! Oerseth! Gdybyśmy się teraz mogli tak samo pozbyć szefa biura, swieże piwo w „Bagnie“ nieźle by nam zrobiło, co?

— Naturalnie! — zawołał referendarz i upuścił nożyce na ziemię.

Mortensen spojrzał chłodno na młodego człowieka; nagle jednak coś mu na myśl przyszło: Hierth był synem sędziego z zawodu, posiadał bardzo dobre stosunki i prawdopodobnie był zawsze przy pieniądzach. Dlatego też odparł dość przyjaźnie:

— Żółtodzióbie, możesz zajść daleko!

Referendarz Hierth nie rozumiał tego. Ponieważ jednak zauważył, iż w ministerstwie należało do dobrego tonu uważać Mortensena za dowcipnego, przeto roześmiał się z podziwieniem i w swej wielkiej prostocie ciągnął dalej:

— Czego mi najwięcej brak od czasu gdy jestem w ministerstwie, to mego małego śniadanka w hotelu Grand. O tej porze można tam dostać takie doskonałe kotlety baranie i świeżą sałatę ogórkową, ah!

Z pokoju Oersetha dało się słyszeć mruczenie zadowolenia, a Mortensen rzekł:

— Sałaty ogórkowej nie jadam nigdy przed południem; odbija się. Ale holenderski bifsztyk ze smażonemi kartoflami, kieliszek wódki i piwo — tak, to mi śniadanie!

— I to przyrządzają pysznie w hotelu Grand.

— Tak? Nie przypuszczałem, że można tam tak dobrze zjeść! — dorzucił Mortensen.

— Zapewniam pana, i jeżeli mi pan chcesz wyświadczyć ten zaszczyt i zjeść razem ze mną, to ręczę...

Znowu z przyległego pokoju dał się słyszeć jakiś głos, a Mortensen odparł:

— Dziękuję. Ale właśnie ja i Oerseth już umówiliśmy się...

— Jeżeli pan sądzisz — rzekł referendarz trochę lękliwie — że Pan Oerseth wyświadczałby mi również ten zaszczyt, to...

— Ten jest djabelnie drażliwy na tym punkcie, ale sprobuję! — odparł Mortensen łaskawie i poprawiwszy szelek, przeszedł do drugiego pokoju.

U Oersetha siedział w kąciku starszy człowiek, pochylony nad pulpitem. Oerseth, poszeptawszy coś z Mortensenem zawołał do niego:

— Hansen! Bardzo możliwe, iż przed południem będę musiał wyjść na chwilę. Powiedz pan — jeżeli Mo się zapyta — że poszedłem na konferencję do izby rewizyjnej. Słyszysz pan, papo Hansen?

Hansen skinął głową.

— Ten się zestarzał! — rzekł Mortensen półgłosem — był już wielki czas usunąć go z gazety.

Mortensen mówił o *Przyjacielu Ludu*, z którego redakcji właśnie musiał „stary Hansen“ jak go nazywano, ustąpić, ponieważ prowadził pismo w kierunku, który jego przełożeni uważali za szkodliwy dla społeczeństwa. Taraz redaktorem był Mortensen.

Gdy Oerseth zaczął się zbierać, rzekł Mortensen, iż jakoś nie można jeszcze iść, zanim szef nie odbędzie swego zwykłego spaceru po biurach. W tej chwili właśnie otworzyły się drzwi przyległego pokoju; szef biura Delphin wyszedł i zeszedł po schodach na dół.

Mortensen powrócił na swoje miejsce i szepnął do Hiertha:

— Przerobiłem go! — rzekł, poczem śpiewając pod nosem jakąś piosenkę, zaczął się ubierać.

Nie wielu wolno było zachowywać się w ministerstwie bez przymusu, jak kanceliście Mortensenowi. Wiadomem jednak było, że był przyjacielem Andersa wszechmocnego — jak zwykle nazywano woźnego Mo; prócz tego zaczęto szeptać, że minister Bennechen posługuje się od czasu do czasu *Przyjacielem Ludu*.

Dlatego też powaga Mortensena w ministerstwie była daleko większą, niż jego ranga i powoli zaczęto już zapominać, że jako adwokat na prowincji zaplątany był w jakieś bardzo kompromitujące oszustwo z fabryką zapałek.

Gdy Mortensen zapiął surdut, trzej urzędnicy wzięli kapelusze, i zabierali się do wyjścia. Przy drzwiach jednak Mortensen odwrócił się i zawołał:

— O bogowie! Ależ on nie ma aktów! Żółtodzióbek chce iść przez ulicę bez aktów!

— Jakto? — rzekł Hierth, gotów do śmiania się, gdyby tylko miał najmniejsze pojęcie o dowcipie Mortensena.

— Czyż pan nie widzisz? — rzekł Oerseth, a dopiero teraz zauważył Hierth, że każdy z nich miał plik aktów pod pachą.

— Tak... ale... co mam wziąć? — zapytał bezradny i spojrzał na górę papierów przed sobą.

— Marjo Magdaleno, nie opuszczaj mnie! — zawołał Mortensen i spojrzał w sufit — on się pyta, co ma zabrać! Tak, jakby każdy kawałek papieru nie był dobrym do tego, aby go nieść przez ulicę!

Nareszcie referendarzowi wyjaśniło się trochę w głowie; przygotował sobie plik aktów, podobny do tego, jakie mieli tamci i wszyscy trzej pomknęli po schodach na dół.

W bramie podbiegł ku nim długi, chudy człowiek w ubraniu robotniczem.

— Ach, panie redaktorze — rzekł do Mortensena i otarł pot z czoła fartuchem płóciennym — musimy mieć portret jenerała Robertsa.

— Zróbcie Gladstone'a z pełną brodą — odparł redaktor nie namyślając się ani chwili.

— Ależ Gladstone posiada taką ogromną łysinę — zauważył drzeworytnik.

— Dajcie mu kapelusz à la Stanley! — odparł Mortensen spokojnie.

Robotnik skłonił się i pobiegł przez ulicę, a Hierth śmiał się z podziwienia.

— Doskonale, panie redaktorze! — i odważył się nawet poklepać Mortensena po ramieniu — był przecież tym, który miał podejmować — ale czy wiesz pan przynajmniej, jak wygląda jenerał Roberts?

— Ani trochę... — odparł Mortensen.

— Ale przypuśćmy, że jenerał nie posiada wcale brody, albo też tylko wąsy, jak naprzykład ja?

— W takim razie jenerał dopiero po wyjściu naszego numeru musiał sobie zgolić brodę. To przecież jasne jak słońce?

— No, musimy się rozejść — rzekł Oerseth. — Pan i Mortensen, musicie przejść...

W tej chwili Mortensen zaklął gniewnie; obydwaj inni odwrócili się i spostrzegli, że wprost ku nim zmierza szef biura Delphin, elegancki i spokojny, z wiecznie jednakowym, trochę ironicznym uśmiechem na ustach.

— No, możecie mi wierzyć, teraz będzie wesoło! — szepnął Oerseth.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Wychowawcze znaczenie „gwiazdki“.

Choćby kto z dzieciństwa swojego jaknajmniej dokładne zachował wspomnienia, wrażenie, jakie na jego dziecięcym umyśle robiła „Gwiazdka“, niezawodnie z łatwością w pamięci odtworzy.

Rok rocznie na widok choinki odżywają w duszach naszych echa z pierwszej epoki życia, snuje się przed oczami duszy cały szereg wdzięcznych obrazków, czujemy jak gdyby odblask tego zachwytu, jakim niegdyś witaliśmy światło świe-

czek kolorowych i jaśniejące tysiącem ozdób tradycyjne drzewko.

Kto wie, czy całe późniejsze życie człowieka może mu dostarczyć chwil tak szalonej rozkoszy, takiego radosnego uniesienia, jak to, którego doznawał niegdyś w dzień dziecinnego święta. W każdym razie chwilę pojawienia się cały rok oczekiwanej Gwiazdki, porównać można z najgłębszemi radosnemi wzruszeniami duszy, z temi, jakich w późniejszym wieku młodzieńczym doznaje serce w chwili wyznania gorącej i wzajemnej miłości.

Że zaś takie święto przez cały ciąg dzieciństwa pojawia się corocznie, a przez to wrażenie utrwala się i potęguje, wchodzić ono musi w skład wychowawczych wpływów, którym młodziutkie duszyczki poddajemy i dla całego rozwoju ich obojętnem być nie może.

Na uszczęśliwienie dzieci w wieczór wigilijny składa się sporo czynników w tej epoce życia bardzo potężnych.

Czysto praktyczne korzyści z nabyciem nowych zabawek połączone, czysto zmysłowe rozkosze z obfitości bakalij, cukierków i pierników płynące, niewątpliwie dużą grają rolę, lecz bynajmniej nie najważniejszą.

Zabawki i przysmaki dla dzieci zamożniejszych są rzeczą, jeśli nie powszednią, to w każdym razie dość zwykłą, mniej zamożne niekiedy doskonale bez nich obejść się umieją i lepiej się bawią kamieniami i piaskiem niż niejeden rozpieszczony jedynaczek całym bataljonem ołowianych żołnierzy a więcej rozkoszują niedojrzałym owocem niż daktylem lub figą.

Nie byłaby więc Gwiazdka taką nadzwyczajną uroczystością, gdyby nie dostarczała prócz tego obfitej karmi dla duszy dziecięcej, gdyby jej nie darzyła estetyczną rozkoszą i dla gry wyobraźni szerokiego nie otwierała pola.

Każde dziecko przynajmniej w połowie żyje wyobraźnią. Świat rzeczywisty mało znany i mało rozumiany, bardzo słabo rysuje się w jego umyśle i stanowi przytem — dzięki ułamkowym wiadomościom, jakie się do dziecięcych główek przedostają, chaos nierozwikłanych zagadek, które niepospolicie męczyłyby młodziutkie mózgi, gdyby ich one nie dopełniały pracą własnej imaginacji.

Jeśli tylko wdamy się w pogawędkę z którym z tych malców, a zdołamy go takiem natchnąć zaufaniem, że z zupełną szczerością myśli swe wypowiada i zupełnie śmiało zapytania nam stawia, przekonamy się, jak dalece różnym jest światopogląd tych małych obywateli od naszego, jak naiwnie przedstawiają sobie oni świat otaczający, jak różną jest rzeczywistość od ich o niej pojęcia.

Dzieci nie wiedzą tysiąca rzeczy takich, które my wiemy ale ciekawie są wielu tych, które dla nas zawsze tajemnicę stanowią i o które w dodatku nie troszczymy się wcale. Nie mają najmniejszego pojęcia o granicach wiedzy ludzkiej, a jakkolwiek świat przez nas zbadany nie jest im znany, często sięgają myślą po za jego krańce i tworzą krainy fiksji będące znowuż dla nas — *terra incognita*. Stąd też ich pojęcia są zupełnie różne od naszych. To co nas zachwyca ich obojętnymi zostawia, a znajdują rozkosz w rzeczach, na które my ramionami ruszamy.

Taką niezrozumiałą zupełnie dla młodszych dzieci artystyczną rozrywką jest np. teatr, obrazy historyczne z wielu osób złożone, zbyt głośny śpiew, zbyt hałaśliwa, lub zbyt skomplikowana muzyka itp. Lubią natomiast kwiatki, małe zwierzątka, strojne lalki, lub malowane koniki.

Choinka jest właśnie tego rodzaju arcydziełem, które najzupełniej estetycznym pojęciom malców odpowiada. Kolorowe świeczki, błyszczące łańuchy i gwiazdki, złocone jabłka i orzechy składają się na obraz olśniewający, zrozumiały w każdym szczególe, a imponujący jako całość. Jest to przytem widok wesoły, pobudzający serduszko dziecięce do radosnego bicia. Przy blasku choinki konik i lalka — a nawet pospolite klocki do budowania nabierają nowego uroku.

Jednakże nie dosyć na tem; wrażenia potęgują się jeszcze przez mityczne podania do tego zachwycającego drzewka przywiązane. Zjawia się ono nagle przed oczami malców którzy poprzednio trawili długie godziny w jakimś cichym zakątku wśród niespokojnego oczekiwania. Jakieś tajemnicze niewidzialne potęgi sprowadzają je na zemię, aby niem grzeczne dzieci w zimną, śnieżną noc grudniową obdarzyć — i to właśnie legendowe pochodzenie przecudnej choinki stanowi jej urok największy. O ile mniej budziłaby ona zajęcia, gdyby wiedziano, że mama kupiła ją na targu i wystroiła w zakupione również po sklepach cacka!

Jak wiemy dobrze, podania, któremi wobec dziatwy tłumaczymy pojawienie się drzewka, różnią się w wielu szczegółach i nie wszędzie bywają te same w użyciu. Zdaje mi się, że do starych i bardzo rozpowszechnionych zwyczajów należy wpajanie w dzieci wiary w dziada zwanego zwykle gwiazdorem, który niosąc zabawki i drzewka, dzierży również w ręku rózgę i za jednym zamachem kary i nagrody wymierza.

Dla gruntowniejszego złudzenia, ktoś z obecnych w domu przebiera się za owego gwiazdora, dzwonkiem zapowiada swe przybycie i zanim choinkę ukaże — odbywa egzamin np. z pacierza.

Być może, że odegranie takiej pustej sceny u samego wstępu do dziecinnego raju potęguje późniejsze wrażenie, ale wyznaję otwarcie, że pedagogiczna wartość takiego eksperyjest mi zupełnie niezrozumiałą.

Z zasady przeciwna jestem wzbudzaniu w dzieciach uczucia strachu. Dzisiejsze pokolenia już i bez tego są dość nerwowe, a grzeczność i posłuszeństwo wywoływane grozą — sądzę, że nie mają żadnej moralnej wartości. Przedewszystkiem wiara w gwiazdora jest jednem z tych wierzeń, które ustępują najszybciej przed zmysłem krytyckim bystrzejszych malców. W duszyczkach oporniejszych budzi się czasem bunt, który patetycznej scenie humorystyczny obrót nadaje. Sama słyszałam jak pewna czteroletnia dziewczynka straszona przez gwiazdora wzywała na pomoc dorastającego kuzynka: „Karol, bij go gwiazdką“.

Jeśli zbyt wiele budować będziemy na wpływie pedagogicznym tego brodatego jegomościa, to wszystkie nasze obliczenia w puch się rozwieją przy pierwszym podpatrzonym przez dzieci podstępie. Wprawdzie to samo możnaby powiedzieć i o innych gwiazdkowych legendach, ale, jak się później przekonamy, są między niemi i takie, które nawet po pewnego rodzaju zdemaskowaniu pozostawią w umyśle jakieś ślady, nie zostaną złamane do szczętu i stanowić mogą w przyszłości podścielisko dla rozwoju uczuć moralnych i religijnych.

Jak strachem wymuszane przymioty lub zasługi będąc zwykle tylko pozornemi, raczej do hipokryzji niż do wyrobienia moralnego się przyczyniają, tak i ów pacierz przez drżących i zalęknionych malców wyjąkany, chyba tylko ujemnie na ich wychowanie działać może.

Stanowi on związek tego mylnego, niemoralnego a myślę, że i niereligijnego poglądu, że słowa więcej znaczą niż uczynki że bezmyślnie w pamięć klepana modliwa jest jakąś zasługą w obec Boga i jest istotnie czemś co na uznanie i na nazwę modlitwy zasługuje.

Gwiazdor obdarzający dzieci trajkoczące płynnie „Ojcze nasz“ — bywa w takim razie uosobieniem wszelkiej niespra-

wiedliwości tego świata, sprzyjającej śmiałym i wywyższającej nie najlepszych, lecz najlepiej grających komedję.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia jeśli odrzuciwszy gwiazdora jego egzamina i uwagi przedstawimy dzieciom, że Gwiazdka jestto nagroda, którą Dzieciątko Boże dla dzieci grzecznych przeznacza i przez aniołków na ziemię zesyła. Obiecana wprzód może i bez pomocy rózgi wywierać pewien wpływ pedagogiczny, zachęcać dzieci do posłuszeństwa i do różnych drobnych cnót, które w tej epoce życia w dusze przyszłych ludzi wpajamy.

Jednakże, gdyby cała wartość wychowawcza gwiazdki tylko na tem, że się tak wyrażę: wyłudzaniu interesownej grzeczności polegała, nie byłoby naprawdę o czem mówić. Zapominamy zbyt często, że kary i nagrody są jedynie koniecznością pedagogiczną, ale ważnym, umoralniajacym czynnikiem nazwać ich nie można. Ich złą stronę stanowi nietylko to, że na czysto egoistycznych uczuciach grają, lecz i to jeszcze, że bynajmniej do życia nie są odpowiedniem przygotowaniem.

W dziecinnym pokoju stosujemy kodeks wprost odwrotny do tego, który w rzeczywistym świecie panuje, bo nie grzesząc nawet zbyt wielkim pessymizmem stwierdzić można na każdym kroku, że życie najczęściej karze nas właśnie za dobre uczynki a za złe nagradza.

Jeśli więc chcemy dzieci tak usposobić, aby w dalszem swem życiu cnotę kochały, nie oszukujmy ich kłamliwemi obietnicami fiksyjnych korzyści, bo to złudzenie zbyt szybko rozwiać się może, lecz starajmy się rozbudzić w nich miłość do tego, co piękne i dobre

Jeżeli chodzi o to, żeby w nich uczucia religijne rozniecić, starajmy się aby ich pobożność nie była prostym handelkiem z panem Bogiem, który rachunki prowadzi i w dziesięć choć za każdy dobry uczynek płaci, lecz żeby ona zasadzała się na gorącem przywiązaniu do istoty w której wcielenie naszych ideałów dobra i piękna widzimy.

Zdaje mi się, że właśnie uroczystość Bożego Narodzenia jest bardzo dobrą do rozbudzania takich uczuć okazją.

Wszakże to właśnie z tym pamiętnym i uroczystym dniem „Gwiazdki“, łączy się jedno z najpiękniejszych podań Ewanielji, historja Bożego Dzieciątka, zrodzonego w stajence, któremu pasterze i królowie hołd oddają. Ta malutka Bozia spoczywająca na łonie swej Matki, to dla dziatwy naszej najzrozumialsze wyobrażenie Bóstwa. Nawet najmłodsze dzieci zainteresują się tajemnicą betlejemskiej stajenki, gwiazdą, która nad nią jaśniała, chórami anielskimi śpiewajacemi chwałę na wysokościach Panu i tem ślicznem Dzieciątkiem, tak biednem, że w żłobku nie na łóżeczku spoczywa, a tak jednak potężnem i hojnem, że wszystkie dzieci zabawkami i choinkami obdarza.

Jestto dla dzieci najzrozumialsze objawienie boskiej potęgi i dobroci. Nie są one zresztą w stanie wyobrazić sobie tego Boga, wielkiego, potężnego, mądrego i groźnego, o którym my mówimy, a przedewszystkiem nie byłyby zdolne go kochać. Nasze pojęcie przymiotów Boga jest dla nich zbyt abstrakcyjne, tak jak pojęcie Jego władzy i darów za któreśmy Mu dzięki składać winni. Stwierdzają to aż nazbyt częste odezwania się dzieci. „Jak ja mam Boga kochać, pytał mnie jakiś ośmioletni już chłopczyk, kiedy go nie widzę i za szyję objąć nie mogę“. Inne znów dziecko w ten sposób matce tłómaczyło swoje pojęcie o wszechwiedzy Boga: „Ja wiem trochę więcej niż Kitty, ty trochę więcej niż ja, a Pan Bóg — przypuszczam — trochę więcej niż ty, więc koniec końcem, tak znów wiele wiedzieć nie może“.

W tem, co dzieci z własnego popędu o Bogu mówią, zdradzają często dążność zmniejszania go do swych własnych rozmiarów i zbliżania go do siebie. Zadziwiać to zresztą nie powinno, gdyż ta sama skłonność objawia się również i w wierzeniach ludu. Jeżeli więc dla ludzi dorosłych Bóg musi być zawsze trochę podobny do człowieka, to nic dziwnego że umysły dziecinne najchętniej wyobrażają Go sobie jako dziecko, że w tej postaci najlepiej Go rozumieją i najgoręcej pokochać mogą.

Na tle miłości do malutkiej Bozi spoczywającej w stajence na sianku, rozwinąć się może w dziecku wiele cennych uczuć, np. poszanowanie ubogich, poczucie równości stanów, współczucie dla nieszczęśliwych, słowem, to wszystko prawie, co chrześcjańskiej moralności jądro stanowi.

I wtedy nawet, gdy co do pochodzenia drzewka w duszyczce jego wątpliwości powstaną, gdy podarki gwiazdkowe w sposób mniej tajemniczy tłómaczyć się nauczy i trzeźwym sądem wartość wigilijnych mytów oceni, widok zapalonej choinki wskrzesi rok rocznie w jego sercu wspomnienia betlejemskie i podsyci uczucia, które one niegdyś w niem rozbudziły.

*J. Moszczeńska.*

# U CZIKOSÓW

(Wspomnienie z podróży po Węgrzech).

Orzeł stepowy szybował wysoko w górze, na matowem tle wieczornego błękitu. Zwolna wodziłem za nim oczyma. Jak dumnie, spokojnie i pewnie wznosił się coraz wyżej i wyżej! Promienie zachodzącego słońca ogarniając go pieszczotliwie, barwiły brunatne jego pióra błyszczącym, złotawym refleksem. Zapewne było mu dobrze w tej słonecznej kąpieli, gdyż po kilka sekund wisiał nieruchomy w powietrzu... W końcu wszakże porzucił krąg słoneczny i wolnym lotem podążył ku wschodowi, gdzie daleko, na skraju widnokręgu, widniał ukośną cienką linją — żuraw studzienny.

Po morzu traw i kwiatów chwiejącem się u moich stóp, przemykał z tajemniczym szmerem lekki powiew wieczorny. Pojedyncze źdźbła pochylały się radośnie ku sobie, jaskrawe kwiaty podnosiły swe główki, zdawało się, że po gniotącym, całodziennym skwarze przebiegło nagle ożywcze tchnienie ponad niezmierzoną pusztą, że ocknęło się wszystko z letargu, w oczekiwaniu odświeżającego chłodu i rosy zbliżającej się nocy...

Ozwał się świerszczyk polny... Obok mej nogi przemknęła wypłoszona przezemnie szara jaszczurka stepowa i z szybkością błyskawicy zniknęła w wąskiej, lecz na sążeń może głębokiej rozpadlinie, słońcem spalonej ziemi. Mały czyżyk wysunął ciekawie swą główkę z burzanów i schował ją natychmiast, przestraszony widokiem człowieka. Cisza zapadła

znowu, ogromna, wspaniała, cmentarna niemal cisza! Niezwykły, uroczysty spokój rozpostarł się w mojem sercu...

Położyłem się w trawie i zapatrzony w zapadającą za step tarczę słoneczną, wsłuchiwałem się w ciszę. Czułem się niewymownie szczęśliwy i zapomniałem o całym świecie, gdy wtem, dalekie nawoływania pastuchów i szczekanie psów, zmąciły ciszę. To zwróciło me myśli ku rzeczywistości i przypomnało, że niebezpiecznie jest samotnikowi, nocą wędrować przez pusztę, że należy na noc schronić się koniecznie pod dach jakiej *czardy* lub pastuszego szałasu. Szybko porwałem się z miękkiego legowiska, chwyciłem mój kij, przerzuciłem puszkę botanika przez plecy i ruszyłem w stronę studziennego żurawia, za którym, na niewielkiem wzgórzu, majaczyły kontury niskiej, ku ziemi przysiadłej chaty.

Po półgodzinnej może wędrówce, zarysowała się przedemną wyraźniej. Był to z gliny ulepiony szałas pastuszy, z dachem trzciną pokrytym. Z szerokiego komina podnosił się wesoło biały słup dymu ku górze. Dym ten pobudził mię do pośpiechu, każąc spodziewać się posilnej i sutej wieczerzy, dla wygłodzonego całodziennym postem żołądka.

Zbliżałem się coraz bardziej do celu. Zachodzące słońce zalewało cały step przedemną tak potężną falą karminu, że chwilami zdawało mi się, iż brodzę w jakiemś krwawem jeziorze.

Nagle, stanąłem jakby wryty w ziemię, wobec niespodzianej przeszkody... Przed memi oczyma zabłysła z za traw i szuwarów szeroka, spokojna powierzchnia rzeki Hortobágy! Przewijając się przez lasy szuwarów, to znów przez nagi, skwarem spalony grunt stepowy, oddzielała mię podstępnie od celu mej wędrówki, od owego szałasu, co z daleka, hen z lewego brzegu tak zapraszająco do mnie się uśmiechał.

Fatalnie!.. Kląłem w głos co się wlazło, lecz naturalnie, bez skutku... Musiałem się szybko zdecydować co uczynić dalej. Wrócić?... Nie!... Zostawały mi zatem dwie drogi do wyboru: albo przenocować w pustym stepie, jak mi się to już zresztą nieraz zdarzało, albo też rzekę przepłynąć. Idąc za poradą mego głośno mruczącego żołądka, wybrałem to ostatnie.

Potrzeba jest matką wynalazków. Bardzo prędko wymyśliłem sposób, jakby moje rzeczy i zbiory botaniczne przeprawić na drugi brzeg bez zamoczenia ich. Rozebrałem się zupełnie, wlazłem w wodę, naciąłem spore dwa pęki trzciny, związałem je zapomocą sitowia, a następnie, umieściłem mój dobytek na tej improwizowanej tratwie. Płynąc, popychałem ją przed sobą i tak dosięgnąłem bez wypadku drugiego brzegu, używszy przy sposobności przyjemnej, ochładzającej kąpieli. (Ciąg dalszy nastąpi).

*F. W...*

# Wiadomości artystyczne i literackie.

**Konkursy.** Termin konkursu powieściowego, ogłoszonego przez warszawski tygodnik „Głos" został przedłużony do dnia 1. marca 1898. — Na konkursie dramatycznym, który rozpisała dyrekcja teatru we Lwowie nie przyznano nikomu pierwszej i trzeciej nagrody; druga zaś dostała się w udziale p. Edwardowi Grabowieckiemu, artyście dram. i utalentowanemu autorowi dwóch znanych u nas utworów pt.: „Harpagoni" i „Towarzyszki życia". Nadto jury zaleciła do grania 5-cio aktową sztukę p. Bolesławicza pt. „Belweder".

**Monografja** o Jędrzeju Śniadeckim, streszczająca drogi życia, oraz literackiej działalności znakomitego naszego przyrodnika wyszła w odbitce z jubileuszowego zeszytu Kosmosu.

**Encyklopedji ludowej,** tom I. (od litery A do K) wyszedł obecnie nakładem „Macierzy polskiej". Cenne to dzieło wychodzi zeszytami przy gorliwym współudziale najwybitniejszych naszych pisarzy.

**Pamiętniki** gen. Józefa Szymanowskiego, wydał we Lwowie znany literat St. Schnür-Pepłowski. Jest to ciekawy przyczynek do nowej literatury pamiątkowej.

**Ciekawe** dokumenty do życiorysu Adama Mickiewicza podał w ostatnim zeszycie warsz. Ateneum prof. Teodor Wierzbowski. Znajdujemy tam oryginał metryki chrztu Mickiewicza, świadectwo wydane twórcy „Pana Tadeusza" jako nauczycielowi szkoły powiatowej kowieńskiej, prośbę wieszcza o udzielenie mu urlopu ze względów zdrowia, poręczenie J. Lelewela za Mickiewicza, jako więźnia w r. 1824 i w. i.

**Jordan** (J. Wieniawski) napisał nową komedję pt. „Dla dobra ogółu". Rzecz tę autora „Wędrówek delegata" wystawiono w warszawskim teatrze Rozmaitości z dużem powodzeniem.

**Prolog** do przedstawienia urządzonego w paryskim Odeonie ku uczczeniu 258 rocznicy urodzin Racine'a napisał St. hr. Rzewuski.

**Konkurs** na obrazy, ogłoszony w Warszawie przez salon Krywulta, z okazji roku mickiewiczowskiego, przedłużony został do 1. października 1898 r.

**W Lipsku** wyszły świeżo listy pośmiertne wielkiego chirurga i amatora-muzyka Billrotha.

Hr. A. Wodziński wydał w Paryżu nowele pt. „Le journal de Lilliane".

W „Revue blanche" znajdujemy studjum p. L. Winiarskiego pt. „Morituri" — o istocie genjuszu.

W Singer-Academie w Berlinie występowała z sukcesem p. Wilhelmina Wnuczkowska, pianistka, z Krakowa.

O Józefie Hoffmanie, który świeżo odbył tournée artystyczną po miastach niemieckich, piszą „Signale" lipskie: „Jako pianista dorównuje p. Hoffman pierwszorzędnym wirtuozom teraźniejszym i możemy go snadnie nazwać spadkobiercą artystycznym Rubinsteina".

W Londynie wystawił teatr Court słynną operę Humperdincka, twórcy „Jasia i Małgosi", pt. „Dzieci królewskie".